

ANNA RYBAKIEWICZ

Autorka bestsellerów:
„Lekarka nazistów” i „Do końca moich dni”



OSTATNI Z LISTY

Oparta na prawdziwych wydarzeniach historia ludzi,
których życie roztrzaskała okrutna machina wojny

FILIA

ANNA RYBAKIEWICZ

OSTATNI
Z LISTY

FILIA

*Panu Jerzemu Smurzyńskiemu – uznanemu pedagogowi
i dziennikarzowi, nieustrudzonymu badaczowi zbrodni hitlerowskich,
człowiekowi niezwykle, ostatniemu ocalałemu z listy...*

HISTORIA OPARTA NA PRAWDZIWYCH WYDARZENIACH

*Losy Antoniny i Mariana Smurzyńskich
zostały oparte na wspomnieniach ich syna Jerzego Smurzyńskiego.
Losy Bronisławy Szczecińskiej i jej córki Ireny Hojak
zostały oparte na wspomnieniach rodziny Szczecińskich.*

PROLOG

Łomża, 28 lutego 2024 roku

Po raz dziesiąty przeczytałam treść wiadomości, którą zamierzałam wysłać do pana Jerzego – człowieka, którego nigdy nie poznałam, a którego miałam zachęcić do opowiedzenia mi historii swojego życia. Stresowałam się, że moje słowa zabrzmiały zbyt formalnie. Z drugiej strony chciałam, żeby zobaczył we mnie prawdziwą pisarkę.

Co prawda, pan Jerzy został uprzedzony, że do niego napiszę. Jednak mojego e-maila spodziewał się od października ubiegłego roku, kiedy to pozwolił swojej znajomej – pani Beacie, obecnej na spotkaniu autorskim w Piątnicy – udostępnić mi kontakt do siebie. Niestety, jak to bywa w życiu, ciągle było coś ważniejszego do zrobienia, coś do dokończenia, coś co nie mogło dłużej czekać. Tak było i tym razem. Niemniej przez ten cały czas SMS z adresem mailowym pana Jerzego nie dawał mi spokoju. W końcu naszedł ten dzień, gdy stwierdziłam, że pora się przywitać i zobaczyć, dokąd nas ta wymiana wiadomości zaprowadzi.

Bez przekonania kliknęłam „wyślij” i szybko wróciłam do swoich codziennych zajęć. Byłam sceptycznie nastawiona do tej formy komunikacji, bo z moich obliczeń wynikało, że pan Jerzy ma obecnie dziewięćdziesiąt sześć lat, i z tego też względu nie nastawiałam się, że otrzymam od niego jakąkolwiek odpowiedź.

Godzinę później rozbrzmiał dzwonek mojego telefonu, a na wyświetlaczu pojawił się nieznany numer.

– Tak, słucham?

– Pani Ania? – zapytał mężczyzna po drugiej stronie.

– Przy telefonie. W czym mogę pomóc?

– Nazywam się Jerzy Smurzyński i właśnie otrzymałam pani e-mail.

– Pan Jerzy? – powtórzyłam szczerze zaskoczona. – Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałam się, że pan się ze mną skontaktuje, i to jeszcze w tak krótkim czasie. Bardzo mi miło, że pan dzwoni.

Mój rozmówca roześmiał się serdecznie, a mi przemknęło przez myśl, że może rozmawiam z synem pana Jerzego, który nomen omen nazywa się tak samo i o czym może nie zostałam poinformowana przez panią Beatę. Przecież głos, który słyszałam, był pełen życia! Nie mógł należeć do starszego pana! Postanowiłam jakoś to dyskretnie zweryfikować.

– To mi miło, że pani do mnie napisała!

– Jest pan pewien? Nie chciałabym pana zamęczyć swoimi pytaniami. Zrozumiem, jeśli nie będzie pan na siłach...

- Nonsens! – przerwał mi. – Na wszystkie odpowiem! I to z pełną satysfakcją!

- Jeśli jest pan pewien, że dla pana to nie będzie zbyt wiele.

- Pani Aniu, proszę się nie przejmować, tylko pisać do mnie e-maile z pytaniami. Postaram się odpowiadać na nie jeszcze tego samego dnia. Chociaż ostatnio większość swojego czasu poświęcam żonie i może się tak zdarzyć, że odpowiem dopiero następnego – tłumaczył, jakby zbyt długie oczekiwanie na odpowiedź było czymś nagannym. W tym momencie ogarnął mnie wstyd, że sama tak długo zwlekałam z napisaniem tej pierwszej wiadomości.

- Mnie się nie śpieszy – zapewniłam. – Proszę odpowiadać w wolnej chwili. Żona jest najważniejsza.

- Ma pani rację. Żona jest najważniejsza, zwłaszcza kiedy ktoś żyje w trzeciej Polsce z pierwszą żoną siedemdziesiąt trzy lata! – zażartował, a ja nie mogłam się nie uśmiechnąć. Teraz miałam już pewność, że rozmawiam z właściwym panem Jerzym, a o żadnej pomyłce nie może być mowy.

- Panie Jerzy, w takim razie niech mi pan powie, jaka jest pana historia? Pani Beata mówiła mi, że koniecznie muszę się z panem skontaktować w kwestii zbrodni w lesie jeziorkowskim, że muszę napisać książkę o losach pana i pańskiej rodziny. Jednak nie zdradziła mi żadnych szczegółów. O czym mógłby mi pan opowiedzieć?

- Pani Aniu... Opowiem pani o czarnych latach. Opowiem pani o liście pięćdziesięciu osób skazanych na śmierć. I opowiem pani, jak „piętnaście minut” uratowało moje życie – powiedział tajemniczo, nie ujawniając mi tak naprawdę niczego. Postanowiłam drążyć dalej.

- Ale kim pan tak naprawdę jest, panie Jerzy?

- Ja? Ja jestem ostatnim z listy...

ROZDZIAŁ 1

Łomża, 6 marca 1945 roku

Władysław

Zdezelowany rower piszczał za każdym razem, gdy dociskałem mocniej pedały. Nic nie mogłem poradzić na to, że podświadomie chciałem już być na miejscu. Od niespełna dwóch lat wszystkie moje myśli uciekały właśnie tam. Nic więcej nie miało już znaczenia, tylko ten niewielki skrawek ziemi. I nawet gdybym ze wszystkich sił starał się o nim zapomnieć, nie potrafiłem. Niczego w życiu już nie pragnąłem, o niczym nie marzyłem. Nic już nie miało większego znaczenia. Żyłem z dnia na dzień. Żaden wschód słońca czy jego zachód nie mógł tego zmienić. Nie, gdy moje serce skrywała tamta ziemia.

Ukrywałem się, walczyłem, pracowałem, bo musiałem przeżyć na tyle długo, aby móc tu powrócić. Odnaleźć miejsce, które mi ją zabrało. Uklęknąć i prosić o przebaczenie, że nie zdołałem jej ochronić. Nie potrafiłem ocalić. Że tamtego dnia stchórzyłem.

Wolno przejeżdżaliśmy przez drewniany most zbudowany zaledwie dwa miesiące wcześniej – jedyną przeprawę łączącą miasto z sąsiednią Piątnicą. Spojrzałem w bok i w oddali dostrzegłem resztki żelaznej konstrukcji mostu wysadzonego przez Niemców w czterdziestym czwartym roku, gdy ci wycofywali się z Łomży. Rozzerwana na strzępy przeprawa przez Narew była żywym przypomnieniem tego, jak wiele przeszło to miasto, jak wielka trawiła go wojenna pożoga. Gdybym był poetą, w ten sam sposób opisałbym swoje życie. Lecz nim nie byłem. Zresztą nie wiedziałem już, kim tak naprawdę jestem. Kiedyś, gdy ją poznałem, byłem uciekającym przed Niemcami urzędnikiem Oddziału Banku Polskiego w Łomży. A gdy widziałem ją po raz ostatni, byłem pracownikiem *Auffanggesellschaft für Kriegsteilnehmerbetriebe des Handels im Gau Ostpreussen GmbH Lomscha* skrywającym się niczym tchórz za niewielkim murem ogrodzenia. Zarówno pierwszego, jak i ostatniego dnia moje serce przepełniał strach. Najpierw przed wojną, potem o jej życie. Tymczasem ona każdego dnia była po prostu sobą. Była moim aniołem. Była moją Anielą...

W tej samej chwili mój wzrok przykuła postać nad brzegiem rzeki, a dokładniej dziewczyna o jasnych włosach. Niosła dwa blaszane wiadra, uginając się pod ciężarem znajdującej się w nich wody. Coś ścisnęło mi płuca, pozbawiając możliwości wzięcia oddechu, bo zdawało mi się, że to... ona.

– Władek, uważaj! – Usłyszałem ostrzeżenie i w porę zorientowałem się, że jadę wprost na wyrwę w deskach. Skręciłem sterem w ostatnim momencie, unikając zapewne przedziurawienia dętki. – Jezu, chłopie, patrz, jak jedziesz! – skarcił mnie mój siedemnastoletni towarzysz. Zamiast rozgniewać się za te słowa, uśmiechnąłem się pod nosem, przypominając sobie, że jeszcze kilka lat temu to ja uczyłem tego smarka jeździć, a teraz to on śmiał pouczać mnie.

Raz jeszcze pozwoliłem sobie spojrzeć na jasnowłosą dziewczynę. Wiedziałem, że nie było najmniejszej możliwości, żeby to była ona. Jednak rozum mówił jedno, a serce podpowiadało drugie. Dwa lata temu czułem się podobnie. Wtedy też nie uwierzyłem, gdy mówiono, że było nas więcej. Nas – ocalących. Że nie tylko mnie, Jurkowi Smurzyńskiemu i Piotrkowi Figurskiemu udało się przeżyć. Rozsiewane przez Niemców plotki miały nas wywabić z kryjówek, a tak naprawdę jedynie dodawały nam siłę, żeby wytrzymać w nich jak najdłużej. I właśnie to sprawiło, że już na zawsze porzuciłem wszelką nadzieję. Bo chociaż zdarzało mi się słyszeć jej śmiech. Na ulicy. W sklepie. W tramwaju. Chociaż były dni, że widziałem ją w przechodzącej obok mnie dziewczynie, to nigdy nie była ona.

Zjechaliśmy z mostu i podążaliśmy w kierunku Jeziorka. Mieliśmy do pokonania zaledwie dziesięć kilometrów. Pół godziny jazdy rowerem. Tymczasem

miałem wrażenie, że ta droga nigdy się nie skończy. Że jedziemy i jedziemy, a mijane pola i drzewa zapętlają się i ukazują nam się na nowo. Chciałem już być na miejscu. Na własne oczy zobaczyć ślady ich bestialstwa. Bestialstwa, które Niemcy nazwali odwetem, środkiem zaradczym, który miał jedynie zapewnić spokój na okupowanych przez nich ziemiach.

Wróciłem myślami do niej i do tego, co nam obojgu odebrano. Mimowolnie spiąłem wszystkie mięśnie, a dłonie zacisnąłem tak mocno, że aż pobieleły mi knykcie. Pedalowałem z całych sił, chcąc uciec od własnych wspomnień. Gdy zorientowałem się, dokąd tak naprawdę uciekam – do miejsca, które było moim i jej końcem – zwolniłem. Na powrót zrównałem się z chłopakami.

Jechaliśmy we czterech. Na przodzie trójka ocalałych. Przynajmniej tak o nas mówiono, chociaż ja tego tak nie widziałem. Ocalały? Może i rzeczywiście uniknąłem śmierci, ale moje życie skończyło się tamtego dnia. Życie nas wszystkich. Tego byłem pewien. Bardziej określiłbym siebie mianem oszusta. W końcu oszukałem przeznaczenie, oszukałem śmierć. A wystarczyło po prostu wyjść trochę wcześniej z domu. To nie było nic wielkiego. Nie dokonałem spektakularnej ucieczki z więzienia, nie wyskoczyłem z pędzącej niemieckiej ciężarówki, nie uniknąłem wystrzelonej w moim kierunku kuli. Ale czy było warto? Wielokrot-

nie zadawałem sobie to pytanie, a potem spoglądałem w niebo, szukając odpowiedzi. I zawsze ją znajdowałem. Odpowiedzią była ona. Patrzący na mnie z góry mój anioł. Moja Aniela...

Czwartym towarzyszem naszej dzisiejszej wędrówki był urzędnik wysłany do pomocy przez władze miasta. I to ze względu na niego mieliśmy takie ślimacze tempo. Mimo swojego młodego wieku miał wyjątkowo mało sił, przez co jechał jako ostatni. Dosłownie jakby trudy okupacyjnego życia całkowicie go wyczerpały. Ale czy to nie tyczyło się nas wszystkich?

- Kurka wodna! - Jurek po raz kolejny tego dnia złożył na swój rower.

- Co tym razem? - zapytałem, odwracając głowę w jego stronę, i zanim zdążył wyjaśnić cokolwiek, już wiedziałem, a raczej zobaczyłem łańcuch ciągnący się po ziemi.

Zatrzymałem się, a jadący za mną urzędnik o mały włos by na mnie nie wpadł.

- Nie tak szybko! Panie! Mów, jak chcesz się pan zatrzymać! - wysapał, próbując przełożyć nogę przez ramę roweru, co przy jego niskim wzroście było nie lada wyzwaniem.

Puściłem jego uwagę mimo uszu. Narzekał, odkąd tylko pojawiliśmy się w ratuszu, jakby przeczuwając, że to na niego spadnie ta niewdzięczna rola pilnowania nas w jeziorkowskim lesie. I nie mylił się. Gdy po raz kolejny

pojawił się w urzędzie miasta, prosząc o pomoc burmistrza, ten nie mając już żadnej wymówki, zgodził się nas wesprzeć. Przy czym zastrzegł, że urzędnik odpowiedzialny za dokumentowanie hitlerowskich zbrodni wyruszy razem z nami. Tym człowiekiem był właśnie nasz obecny towarzysz.

- Pomóc ci? – zaoferowałem.

- Nie trzeba. Dam sobie radę – stwierdził Jurek, kucając przy rowerze. Palce miał czarne od smaru, bo już po raz drugi ten nieszczęsny łańcuch mu zleciał.

- Mogę na niego spojrzeć, jeśli chcesz – ponowiłem swoją propozycję.

- Poradzę sobie sam. Nie jestem dzieckiem – odpowiedział z naciskiem na ostatnie słowo, nie przerywając tego, co robił.

Wiedziałem, że sobie poradzi. Tak samo jak wiedziałem, że nie przyjmie mojej pomocy. Przez ostatnie dwa lata zmienił się nie do poznania. Ja zresztą też. Gdy się ukrywaliśmy, musieliśmy nieustannie na kimsz polegać. Kogoś wciąż prosić o pomoc, wiedząc, że za każde okazane nam wsparcie czeka tych ludzi śmierć. Teraz gdy niebezpieczeństwo minęło, chcieliśmy radzić sobie sami. Musieliśmy, a wręcz pragnęliśmy wziąć los we własne ręce.

- Dorosłym też nie jesteś. Masz dopiero siedemnaście lat – wytknąłem mu jego wiek. Ale sam w to nie wierzyłem. Jurek już dawno przestał być dzieckiem.

Stało się to dokładnie 15 lipca 1943 roku, gdy stracił rodziców. A nie mając ani matki, ani ojca, nie mógł być już dłużej dzieckiem.

- Panowie! – przerwał nam czerwony na twarzy urzędnik. Wyjął z kieszeni złożoną chusteczkę i przetarł nią spocone czoło. – Jeśli mamy tu częściej przyjeżdżać, musimy znaleźć jakiś inny środek transportu. Te rowery do niczego się nie nadają.

- To może miasto coś załatwi – rzucił gniewnie Piotrek. – Jak do tej pory niewiele mieliście nam do zaofiarowania.

- Czasy mamy ciężkie.

- Nie oczekujemy wiele – zaproponował. – To nie musi być samochód. Wystarczyłaby nam zwykła furmanka.

- Urząd nie ma...

- Furmanka? – dopytałem, przerywając tę wymianę zdań. Nagle w głowie zaświtała mi pewna myśl.

- Tak, a co? Masz jakąś?

Prychnąłem w odpowiedzi. Tak samo jak oni, ja również tamtego dnia straciłem cały dorobek życia, skonfiskowany niespodziewanie przez Niemców.

- Ja nie – wyjaśniłem. – Ale wiem, kto może mieć furkę zaprzęzoną w jednego kasztanowego konia. – Uśmiechnąłem się na wspomnienie mojej Anieli, czule głaszczącej bujną czuprynę Kasztanka. – Pani Szczecińska... – dodałem. – Pogadam z nią, bo te rowery i tak się za chwilę rozpadną. Wydaje mi się, że z mojego już

Władysław każdą wolną chwilę spędza z dziewczyną, którą spotkał na dworcu w czasie ewakuacji. Aniela ucieka z Warszawy nie z powodu nadciągającej armii wroga, a z powodu zbrodni, której się dopuściła. Dziewczyna nie spodziewa się, że szukając bezpiecznego schronienia, odnajdzie także miłość.


Do Łomży na prośbę matki powraca Irena wraz z mężem i synem. Kobieta nie chce siedzieć beczynnie, dlatego organizuje tajne nauczanie.

Życie Tosi i Mariana Smurzyńskich wywraca się do góry nogami. Ich sklep przejmują Niemcy i teraz jest Nur für Deutsche, a mężczyzna musi pracować dla okupanta.

Wszyscy na pozór przystosowali się do wojennej rzeczywistości, jednak za plecami wroga robią wszystko, aby go osłabić. Gdy pewnego lipcowego poranka, niemieccy żandarmi pukają do drzwi ich mieszkań, dochodzi do tragedii. Okazuje się, że każdy z nich znajduje się na liście...
Liście, która na zawsze odmieni ich los.

Był to czwartek, 15 lipca 1943 roku. Nie wiedziałem, że było to apogeum „czarnego lipca” na ziemi łomżyńskiej. Nie wiedziałem też, że już nigdy Ich nie zobaczę, że już nigdy nie przekroczę progu naszego domu, że zamknął się pierwszy rozdział mojego życia.

Jerzy Smurzyński – ostatni ocalony z listy.

 **lubimyczytać**

FILIA

cena 49,90 zł

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

**ONA
CZYTA**

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-972-6



9 788383 579726